

więc odpaść, i to już w eliminacjach, w wyścigu do sukcesu. Również wtedy, gdy to, co mieli do zaoferowania światu, zasługiwałyoby w innej sytuacji na uznanie. Tak było, jest i, najpewniej, będzie.

Fakty pomocy okazywanej twórcom pochodzą także spoza kręgu ich samych. Przykładem autora, który miał szczęście natknąć się na swego nie tyle opiekuna, ile wręcz zbawcę jest Witold Gombrowicz, wspomniany na wstępie. Wprawdzie miał on za sobą sukces odniesiony w Polsce za sprawą dwóch książek prozatorskich, ale od 1939 roku, to jest od przybycia do Argentyny, znajdował się w pisarskim zawieszaniu, prawie w pisarskiej pustce. Nawiązany w 1950 roku kontakt z Jerzym Giedroyciem – jednostką jak najbardziej twórczą, ale w innym znaczeniu tego słowa – redaktorem naczelnym „Kultury”, był dla niego wybawieniem. Gdyż nie tylko uwolnił go z pisarskiego niebytu, ale otworzył drogę do międzynarodowej sławy. Giedroyc cenił niezmiernie twórczość Gombrowicza (mam wrażenie, że szczególnie *Dzienniki*). Ten zaś nie wahał się skorzystać z otwierającej się szansy. I wykorzystał ją maksymalnie. Poznane za sprawą Redaktora osoby ze świata kultury – stopniowo było ich coraz więcej – też mu niezmiernie pomogły w drodze ku sławie. Z tym, że nawiązanie owych kontaktów nie było rezultatem oroku osobistego czy też zafascynowania osobowością (choć niekiedy i ono dawało o sobie znać), ale przede wszystkim wynikało z uznania dla pisarstwa Polaka z Argentyny, później z Francji.

Osobną kategorię stanowią twórcy, których nazwę cichymi, a nawet wręcz wyciszonymi. Im jeszcze trudniej przychodzi sukces. Oni raczej nie mogą nań liczyć. A jeśli już to chyba tylko wtedy, gdy napotkają Kogoś bądź Ktoś ich napotka. Przykładem tego może być Bruno Schulz. Otóż zetknięcie się z Zofią Nałkowską było przełomem w jego pisarstwie. To ona bardzo pozytywnie oceniła *Sklepy cynamonowe* i pomogła w ich wydaniu w 1934 roku (był to debiut książkowy Schulza, rok wcześniej miał miejsce debiut w czasopiśmie).

Ale w tym, że okazywanie wspomnianej pomocy jest nieczęste, tkwi jej siła. Bo tylko wtedy może ona spełnić swoją rolę. Gdyby wszyscy wszystkim pomagali w drodze do sławy, wszyscy tkwiliby w tym samym punkcie. I aby zwrócić uwagi na swoje dokonania, a tym samym na siebie, musieliby szukać innych sposobów. Może nawet zaczęliby przemysliwać nad obraniem drogi wyznaczonej przez Herostratosą. Ów Grek (niektórzy powątpiewają w jego greckość) żyjący w IV w. p.n.e., o władnięty obsesją zdobycia wiecznej sławy, podpalił świątynię Artemidy w Efezie uważaną za jeden z siedmiu cudów świata. Cel swój osiągnął. Lecz niewiele brakowało, aby stało się inaczej. I można wyobrazić sobie, co czuł, gdy usłyszał sentencję wyroku. A mowa w niej była o tym, że za swój czyn zostaje skazany nie tylko na śmierć, na to był przygotowany (wyrok wykonano). Dowiedział się również, że spotka go „potępienie pamięci” (łac. *damnatio memoriae*, brak terminu gr.).

To znaczy, że jego imię zostanie wymazane ze wszelkich dokumentów pisanych. I niewiele brakowało, aby tak właśnie się stało. Zachowała się jedynie wzmianka w jednym z dzieł greckiego historyka Teopompa z Chios.

Postępowania nacechowanego wręcz chorobliwą żądzą zdobycia sławy – psychologia nazywa je kompleksem Herostratosy – nie biorę jednak pod uwagę. Interesują mnie bowiem, jak wcześniej zaznaczyłem, działania podejmowane przez autora w celu zdobycia sławy czy choćby uznania ze względu na utwór/wytwór. I to nawet wtedy, gdy sam twórca będzie uważał, że to, co wyszło spod jego pióra bądź pędzla nie zasługuje na miano dzieła, będąc, co najwyżej, dziełkiem.

Pisałem już we wcześniejszych tekstach (także w niniejszym) o tym, że zewnętrzny świat, przybierający różne postacie – niektóre zostały wymienione powyżej – kreuje wielkości; najczęściej krótkotrwałe. Media współczesne takimi właśnie się interesują. Żyją bowiem bieżącą chwilą, więc wieczne dzieła ich nie interesują. Może nawet nie biorą pod uwagę tego, że dzieła i takimi być mogą. Nie pisałem jednak, gdyż wcześniej nie uwzględniłem tego (przeoczyłem czy zlekceważyłem?), że istotny, niekiedy dominujący, może być również wpływ wewnętrzny. To znaczy ten, który swe źródło ma w psychice/charakterze kandydata na zdobycie rozgłosu i pieniędzy. Mam wrażenie, że o tym wewnętrznym czynnikiem pisano w odniesieniu do działalności w takich dziedzinach jak polityka, gospodarka. Natomiast znacznie rzadziej, a może w ogóle, jeśli chodzi o ten, czy inny przejaw kultury np. literaturę czy sztuki plastyczne.

Mówiąc wprost, uważam, że im większy ma się tupet, czy też jest się wręcz bezczelnym, tym bardziej możliwe staje się odniesienie sukcesu. Oczywiście czyjś tupet bądź bezczelność, niejedną osobę wpływową mogą zrazić. Ale ludzie pragnących sukcesu, od tego uzależniających swe szczęście, i nie mających wielkich czy też żadnych oporów, cechuje z reguły to, i to nie tylko w przenośni, że jeżeli zostaną wyrzuceni drzwiami, to spróbują wejść oknem. Do tego wyznają zasadę starą jak świat: cel uświęca środki. Nawiązywanie kontaktów, a potem ich podtrzymywanie (pod jakimkolwiek pretekstem), z osobami, które mogą coś konkretnego załatwić, mogą przydać się do czegoś, należy do arsenału środków ludzi, którzy mają jasno wytyczony, wspomniany powyżej, cel w życiu (akurat to, że ma się wytyczony cel w życiu uważam za plus, w przeciwieństwie do całej przedstawianej otoczki). Z tym, że tort do podziąłu, o czym była już wzmianka, nigdy nie jest duży, a chętnych na otrzymanie jego kawałka, zawsze jest o wiele, wiele więcej. Ale gdy jeden z drugim szczęśliwiec, będzie już trzymać w dłoni talerzyk deserowy, znak, że prawdopodobieństwo dostania Czegoś jest duże, to będzie chciał, aby był to kawałek duży, a może największy. Lecz, gdy tort będzie mały lub liczba chętnych na niego – większa, wówczas walka o dostęp i do stołu, i do talerzyków, i do tortu, stanie się bardziej bezwzględna. Wtedy z całą

pewnością nie można już będzie mówić o szlachetnej rywalizacji (rzadko ona w tej dziedzinie taką była).

Do bezwzględności namawiają zresztą ci, którzy twierdzą z przekonaniem – niejednokrotnie w dobrej wierze – że gdy się czegoś chce bardzo, to cel się osiągnie. Z całą pewnością mają rację. Trzeba tylko, gdy pozostanie wyłącznie jeden konkurent, zrobić coś takiego, o czym on nie pomyślał, albo zawałał się przed uczynieniem tego. Tak więc osiągnięcie sławy, która będzie towarzyszyć do końca życia człowieka nią obdarzonemu, jest jak najbardziej możliwe. Ale już wpływ ze strony zainteresowanego na uzyskanie statusu twórcy obdarzonego sławą wieczną, jest chyba nierealny.

W przypadku osób piszących/malujących/komponujących, jak też w ogóle osób chcących przekonać do swego punktu widzenia/swojej wrażliwości, szalenie ważną jest wiara w to, co ma się do przekazania (udawanie tego na dłuższą metę nie jest możliwe); że to, co się twierdzi (także np. na płótnie) jest przynajmniej równie ważne, jak to, co w tej materii mają/mieli do powiedzenia inni. A może nawet ważniejsze. Oczywiście należy spełnić, przynajmniej podstawowe kryterium związane z posiadaniem podstaw warsztatu czy to pisarskiego, czy plastycznego bądź muzycznego (współczesność wielokrotnie była jednak świadkiem braku owego warsztatu u osób, które uzyskały uznanie w pewnych kręgach). Ale gdyby ów warsztat posiadał ewidentne usterki – a Jorge Luis Borges napisał, że „człowiek (...) nie pisze jednak tego, co chciałby napisać, lecz to jedynie, co napisać potrafi” (esej *Credo poety*) – to jego posiadacz, gdy sławnym być chce, nie powinien się tym zrażać. I robić to, co może przywieźć go do celu. To znaczy czynić to, o czym mówi, w pierwszej części swej wypowiedzi Victor Frankl (choć i nad drugą mogliby, przynajmniej, zastanowić się marzący o sławie):

*Bądź panem swojej woli i sługą swego sumienia.*

Jak najbardziej wskazane byłoby wierzyć w to, że wola jest jedynym czynnikiem kształtującym rzeczywistość. Tymczasem ogromna większość ludzi, nawet jeśli dopuszcza znaczenie woli, wiedzy tej nie wykorzystuje do niczego. Tę samą część gatunku homo sapiens cechuje także niewiara w wartość tego, co sama tworzy. Cechują ją bowiem kompleksy. Dlatego tak ważne są opinie wyrażane przez innych. Zwłaszcza tych, których twarze czy nazwiska są rozpoznawalne. Z tym, że owa rozpoznawalność nie musi być wcale związana z dokonaniem „posiadaczy” owych twarzy i nazwisk. Wystarczy w zupełności to, że są znani. Niejednokrotnie w przypadku tych autorów, dla których własna twórczość jest naprawdę ważną, okazuje się, że sława, która im towarzyszy, nie jest tą, o której marzyli. Są bowiem znani za sprawą właśnie swych twarzy.

(Dokończenie na stronie 10)